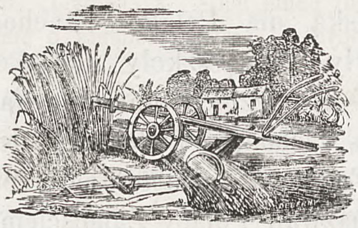
Tom II. 21. Lipca 1870. Nr. 3.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Tomasz Zamojski

pobożny pan polski.

Niedaleko od nas jest miasto Zamość, które fundował Jan Zamojski, bogaty pan polski i urzędnik w polskim kraju tak wielki, że był on pierwszy zaraz po samym królu. Ten Jan Zamojski miał aż 4 żony, a ostatnia jego żona była Barbara Tarnowska, bogata pani i pobożna, która zawsze na św. Barbarę w adwencie dawała obiady dla ubogich, i sama im posługiwała, a po obiedzie hojną jałmużną obdzielała. Otoż tym bogatym i pobożnym państwu dał Bóg na wielką pociechę syna jedynaka, który się urodził roku pańskiego 1594, na kilka dni przed samem Bożem narodzeniem, i któremu dano na chrzcie św. imię Tomuś, dla tego, że w tym czasie przypada świętego Tomasza apostoła. Ten Tomuś chował się przy Ojcu i matce w Zamościu, miał w domu najlepszą naukę od matki, miał dobry przykład od ojca, chodził też z drugimi do szkoły w Zamościu, którą to szkołę fundował jego ojciec z wielkiem kosztem dla nauki polskich i katolickich dzieci, a która potem nazywała się akademią Zamojską, i wydała dużo dobrych Polaków. Taka szkoła wielka i dobra w Zamościu była bardzo potrzebną i dogodną dla Polaków dla tego, że na tak wielki polski kraj była akademia w Krako-

wie, zwana Jagiellońską, była znowu w Poznaniu, zwana Akademią poznańską dla Polaków zachodnich, w Warszawie i Wilnie były takie szkoły dla Polaków od północy, a więc wypadało koniecznie fundować także szkołę wielką dla Polaków od wschodu, i dokonał tego Jan Zamojski, hetman polski. Fundował miasto najprzód, które na jego wieczną pamiątkę nazwali Polacy Zamościem, a potem fundował tu szkołę, która od niego znowu nazwaną została Akademią Zamojską i wysypał na tę szkołę wielkie sumy, sprowadził nauczycieli, założył bibliotekę i tak przyczynił się bardzo do oświaty Polaków. Później jeszcze fundował znowu w Krzemieńcu taką szkołę pan Tadeusz Czacki dla Polaków na samym wschodzie od granic Turka. Tak więc mieli Polacy na wszystkie strony szkoły swoje, które fundowali królowie albo biskupi albo bogaci polscy panowie. Otoż młody Tomuś chodził do szkoły, którą jego ojciec Jan Zamojski fundował w swojem mieście Zamościu, ale niedługo stracił ojca, bo ledwo miał 11 lat, jak jego ojciec umarł. Stracił on ojca i został sierotą, ale Polacy wszyscy stracili takiego pana mądrego i dobrego, jak rzadko znaleść mu równego. Po pogrzebie poszła jego matka na mieszkanie do Krzeszowa, niedaleko od Leżajska, i tu siedziała cicho, smutna, zawsze pobożna, miłosierna, nazwana od ludu polskiego matką i opiekunką ubogich i sierót; on zaś chodził dalej do szkół w Zamościu, a nad nim jako sierotą miał opiekę pan Mikołaj Zebrzydowski, bardzo hardy i nieprzystępny człowiek, który buntował się na samego króla, a majątek Tomusia sieroty marnował niezmiernie. Na biednego zawsze dużo złego, powiadają Polacy, tak też i na Tomusia sierotę przyszła znowu nowa bieda, bo w 4 lata po pogrzebie ojca musiał sprawiać z płaczem pogrzeb swej matki, która umarła w Krzeszowie nad Sanem rzeką, a do jej trumny przez 3 dni przychodził lud polski, modlił się za jej duszę, płakał jak dzieci za matką i odprowadził jej ciało kilka mil aż do Zamościa, gdzie była pochowana. A syn Tomuś, co miał wtedy dopiero 15 lat, leżał krzyżem z żalu i pobożności koło trumny swej matki i szedł razem, z ludźmi jeszcze za trumną z Krzeszowa do Zamościa, a na pamiątkę swej matki dobrej sprawiał zawsze co rok w rocz-

nicę pogrzebu objad żałobny dla ubogich, gdzie razem modlił się za duszami ojca i matki, i obsługiwał przy obiedzie ubogim rozdając przytem hojne jałmużny. Jakie miał nauki i jaki przykład w domu, takie było jego życie późniejsze, a choć już ojcowie nie żyli i nie dozierali go, on młody i bardzo bogaty, nie poszedł nigdy na złe drogi, ale pozostał do śmierci dobrym Polakiem. Po pogrzebie matki chodził jeszcze 3 lata do szkoły, uczył się bo ojciec jego miał wielki rozum, i był znany z nauki i rozumu nie tylko na całą Polską ale na cały świat, otoż i on jako syn chciał być podobnym ojcu z cnót i nauki. Mawiał on drugim:

„Majątek bez cnót i nauki, to tyle znaczy co grube i tłuste ciało, ale chore i ślepe, — i cóż komu po tem, że mu ciało urosło, jeśli jest chorowite i na oczy nie widzi dobrze — tak cóż komu po majątku, jak nie wie, na co go użyć i jak go użyć?“

I prawdę mówił, bo szczęśliwszy ten, kto się Boga boi i ma rozum i naukę, chociaż ubogi, niż ten, kto żyje bezbożnie i niczego dobrego się nie nauczył, a jest przy tem na to mówiąc bogaty? bo czy przy ubóstwie czy majątku nauka i cnoty dają zawsze szczęście prawdziwe.

Dobrze to powiedział jeden mądry człowiek:

Bez dobrej nauki i bez cnoty, nie ma błogosławieństwa ni dobrej roboty.

Wiedział to dobrze Tomuś sierota, toż gdy szkoły dobrze pokończył, ułożył sobie z pomocą bożą tak żyć, aby to życie miało jakie zasługi dla kraju polskiego, i dla ludzi. Jako bogaty żył w Warszawie na dworze króla Zygmunta III, aby się przypatrzyć, jak to król rządzi i co robi dla swego kraju? A gdy się przypatrzył wszystkiemu, ułożył sobie przejechać się w swoim kraju, zobaczyć miasta i wsie, potem zobaczyć te miasta i wsie, które mu ojciec zostawił i poznać wszystko dobre i złe na to, aby dobre utrzymać a złe pokasować, aby w jego dobrach byli Polacy dobrzy i szczęśliwi. I objechał cały swój majątek koło Zamościa, Jarosławia, Tarnowa i po za Lwów, uporządkował, co zły opiekun popsuł, a dopiero wtedy ułożył sobie pojechać w obce kraje i tam się znowu przypatrzyć, co też i drudzy ludzie robią na tym świecie bożym? Musiał on to zrobić, bo mu ojciec w testamencie to

przykazał, a dobre dziecko poszanuje zawsze wolę ojca i matki, chociaż już pomarli. Gdy miał 21 lat, pojechał do Anglików, Francuzów, a potem do Rzymu, aby widzieć Ojca św, a gdzie był, tam pozostał zawsze dobrym Polakiem. Chciał koniecznie widzieć całe nabożeństwo wielkotygodniowe w kościele, które odprawia sam Ojciec św, otoż prosił, by, mu wolno było nieść krzyż za processją, którą odprawiał Ojciec św. i pozwolił mu Ojciec św; — Paweł V. On też ubrał się w kapę i niósł krzyż z wielką pobożnością, a w końcu wyprosił sobie to, że Ojciec św. zatwierdził szkołę Zamojską i nadał jej różne przywileje, podobnie jak miały szkoły w Krakowie, Wilnie w polskim kraju.

Blisko 3 lata jeździł po obcych krajach, wrócił szczęśliwie do Warszawy i został od króla wybrany do rady królewskiej, aby razem z biskupami i panami najmądrzejszymi pomagał królowi rządzić. A tacy radni króla zwali się Senatorami, a cała ich rada razem zwała się senatem polskim. Otóż Tomuś Zamojski został w 24 roku życia swego już senatorem a to dla swej nauki i dla tego jeszcze, że był bardzo bogaty, i syn zasłużonego ojca; był on także wojewodą podolskim, to znaczy, że miał prawo brać do wojska i prowadzić wojaków zebranych na wojnę każdą z całego Podola polskiego. Został on wojewodą podolskim i senatorem polskim nie na to, aby za piecem siedział i jadł i pił dobrze, i robił majątek, ale aby się zasłużył i odrobił to wszystko, co miał po ojcu i od króla polskiego. A zabrało się wtedy na straszną wojnę ze Szwedami, Turkami i Tatarami. Szwedy mieli swego króla Gustawa Adolfa, który przepłynął morze Bałtyckie i zabierał kraje polskie od północy. Turcy z Tatarami chcieli całą Polskę od wschodu i południa zagarnąć. Z Szwedami zrobili Polacy koniec, a przeciw Turkom i Tatarom poszedł p. Żółkiewski, zasłużony starowina i fundator miasta Żółkwi, i zginął pod Cecorą; po nim nastąpił p. Chodkiewicz, ale i ten umarł z wielkich trudów na wojnie pod Chocimem, dopiero p. Stanisław Lubomirski pobił Tatarów, a Turków zmusił do odejścia z polskich krajów — i tak ustała tak straszna wojna. Na pamiątkę tej wojny uprosili sobie Polacy u Ojca św. to, że pozwolił odprawiać co rok dnia 10 go października po wszystkich kościołach

polskich nabożeństwo dziękczynne za szczęśliwe pobicie Turków pod Chocimem, co się do dziś dnia odprawia w ten dzień po kościołach naszych.

Jest temu przeszło 200 lat, jak Polacy modlą się co rok dnia 10 Paźdź i dziękują Bogu za pobicie Turków i Tatarów pod Chocimem roku 1621, bo gdyby wtedy byli Turcy wygrali, tobyśmy do dziś może pod Turkiem zostawali! Tomasz Zamojski zaś gromadził wojaków za swoje pieniądze, odpędzał Tatarów, którzy podeszli aż do jego miasta Zamościa, a co mu zbyło, posyłał na wojnę turecką. Ożenił on się z bogatą Polką Katarzyną Ostrogską i dostał na wiano za nią wielki majątek, z którego to majątku tak jego jak po żonie powstał taki obszar miast, wsi, lasów, rzek, że nazwano to wszystko Ordynacją Zamojskich, to znaczy, że cały ten majątek nie mógł być podzielony na części, ale zawsze przechodził z ojca na najstarszego syna, a inne dzieci dostawały spłat w pieniądzach I ta ordynacja Zamojskich trwa jeszcze dziś, a lasy, zwane ordynackie, graniczą z naszą polską Galicją koło Rozwadowa, Rudnika i Leżajska, ba! nawet niektóre wsie galicyjskie koło Sieniawy należą do dziś do tego majątku, to jest, do Ordynacji Zamojskich. — Na tej wojnie tureckiej pod Chocimem był także królewicz polski Władysław, syn starszy króla Zygmunta III., a gdy wracał z Podola do Warszawy, wypadła mu droga na Tarnopol, a to miasto należało do Tomasza Zamojskiego, i w temto mieście przyjmował Tomasz Zamojski z żoną swoją, biskupami i panami tego królewicza i uraczył go po królewsku, jak przystało. A ztąd odprowadził go aż do Warszawy zdrowiuteńkiego, za co mu król bardzo dziękował.

Po tej wojnie nie miał Tomasz Zamojski zdrowia dobrego, był chorowity, ale jak go król polski wysłał po co, czy to do cesarza w Wiedniu, czy do króla Francuzów w Paryżu, czy do Szwedów czy do Turka, to mimo chorowitości swojej zawsze z ochotą pojechał i sprawił wszystko dobrze. A gdy zaniemógł, to zrobił przy śmierci taki testament:

Na chwałę Boga i pożytek Polakom przeznaczam 60. tysięcy dukatów, aby wyfundować za to kościoły drewniane w tych wsiach, gdzie nie ma kościoła a potrzebny jest, potem

szpitale dla starych kalek, sierót w mieście Tarnopolu i Rownem, aby tacy biedacy mieli przytułek i zaopatrzenie na życie aż do śmierci. Na budynek szkolny murowany i paradny w mieście Zamościu, aby się w nim pomieściło najwięcej szkolarzy, i aby mieli w nim dogodne mieszkanie nauczyciele, przeznaczam 60 tysięcy, — dla ubogich szkolarzy, co nie mają z czego się uczyć, przeznaczam osobne zabudowanie z wszystkiemi potrzebami, a znowu dla księży Jezuitów, aby utrzymywali szkoły przy kościołach, a gdzie potrzeba dla nich kościoła nowego, aby mieli zaco postawić przeznaczam 70 tysięcy— dla ubogich na moim pogrzebie przeznaczam 6 tysięcy. Żądam, aby mnie pochowano w grobie Ojca i matki i bez wielkiej parady!

Jak żył po bożnie, tak samo umarł, nie żył długo, bo tylko 44 lat, umarł roku 1638 w drugi dzień po 3 królach i pochowany w Zamościu. Przeżył króla Zygmunta III. i był przy koronacji starszego królewicza Władysława na króla, był i na weselu jego, gdy się żenił z Cecylię Renatą siostrą Cesarza w Wiedniu i w rok po tem weselu umarł.

Zostawił także syna jedynaka, bogatego pana polskiego, który się ożenił z francuzką Maryą Kazimirą, a która później jako wdowa została żoną Sobieskiego i królową polską.

Co ten Tomasz Zamojski porobił dobrego, to wszystko popsuli Moskale. Szkoły w Zamościu pokasowali, zapisane fundusze zabrali, bibliotekę wywieźli do Petesburga jak swoją, kościoły katolickie pozamykali, a swoje moskiewskie cerkwie wystawili, miasto Zamość przerobili na fortecę moskiewską, lasy wyrąbali i wyniszczyli, a kto z tej rodziny żyje, to go albo z ojcowizny wyścigali albo na Sybir wywieźli, i tak zdzierstwami różnemi ten majątek zubożyli, że tylko znak pozostał z niego i nazwisko.

A wy, co to czytacie, módlcie się do Boga za braćmi waszymi pod Moskalem i pamiętajcie sobie, że nigdy nie będzie dobrze między Polakami i Moskalami, dopóki krzywda wielka nie będzie oddana.

Xiądz Wojciech z Zaleszan.

Mateuszek.

Tam gdzieś nad Uszwicą, jużto temu dawno, był młyn o dwóch kołach, własność starego Grzeli. Rządził się Grzela dobrze, miał podostatkiem wszystkiego, gruntu dużo, łąki i kawał olszyny, ale żona, której było na imię Jagusia, była bardzo łatwowierna. Mieli jednego tylko syna Maciusia, który w 15. roku życia wpadł w ciężką chorobę, i umarł pomimo starań cyrulika z przyległego miasta, mądrych bab i olejkarzy.

Zdarzyło się pewnego razu, że pani młynarka Jagusia pozostała sama jedna w młynie i krzątała się około domowego gospodarstwa. Wtem zaszczekały psy na żebrzącego dziada, który wszedł w dom, pochwalił Pana Boga, i zaczął śpiewać: „O gospodzie uwielbiona.“ — Jagusia jako bogobojna i dobroduszna niewiasta, ukrajała spory kawał białego chleba, nakładła masła, a dając staremu, zapytała, zkądby był? — Dziad filut, jakich dosyć bywa, odpowiada: z tamtego świata. — Łatwowierna Jagusia uwierzyła i pyta go dalej: „A nie widzieliście tam mojego Maciusia.“

— Widziałem, odpowiada oszust, lecz nie jest on bogaczem, chodzi obdarty, nędzny, opalony, musi tam paść wieprze, płakał nieboraczek aż mi go żal było. — „O ja nieszczęśliwa matka!“ zawołała i poszła do komory, nawynosiła szat po nieboszczyku, nasypała mąki, kaszy, nakładła sera, masła, słoniny i chleba w worki, związała to wszystko w płachtę i wyniosła żebrakowi, aby to zaniósł dla Mateuszka i jeszcze kilka złotych wściubiła w rękę dziadowi z prośbą, aby to wszystko oddał jej kochanemu Mateuszowi, nadmieniając, żeby jak mu będzie, źle, o tem ją zawiadomił. Dziad pobrał to wszystko, i czemprędzej się wyniósł, a młynarka zapłakana odprowadziła go jeszcze aż do olszyny.

W godzinę powraca Grzela, a Jagusia rzetelnie mu wszystko opowiedziała, co słyszała o Mateuszku. Grzela złajał o łatwowierność Jagusię, wypytał się dokąd ów dziad się udał, dosiadł czemprędzej konia i dalej w pogoń za dziadem. W pośpiechu wielkim zapomniał wziąć kij do ręki. Gdy dogonił dziada, zsiada z konia i prosi go, aby mu go zatrzymał, aż sobie urznie pręciak. Dziad widząc, że to nie na konia

pręt, ale doskonały dąbczak, powąchał pismo nosem, przewiesił sakwy przez konia, skoczył na niego i dalej w nogi. Grzela spostrzegł się zapóźno i widząc, że go już nie dogoni, powrócił smutny do domu. Jagusia zapytała go: „a gdzież masz konia?“ Grzela nie chciał zasmucić żony utratą konia, odpowiada, że tak jest jak mu opowiadała, i ażeby nie potrzebował Mateuszek chodzić pieszo, posłał mu i konia.

Takie są skutki łatwowierności oszustom.

Ks. J. Por



Sukienice.

Budowla ta, godna uwagi, każdego, kto przybywa do Krakowa, zbudowana od Kazimierza Wielkiego. Za jego już czasów pełnym był gmach ten towarów i dziś jeszcze świadczy jak dbałym był król ten o dobro i bogactwo mieszkańców.

Niema w Polsce drugiej budowli, którąby długością tej wyrównała. Obejmuje ona 18 sklepów w każdej ścianie, i jest 180 łokci długa — 18 łokci szeroka i może pomieścić 7 tysięcy ludzi. Wczasie obchodu ważnych uroczystości, bywają tu bale — a choć licznie zbierają się ludzie, przecież nie ma natłoku i ciżby.

W ostatnich czasach gmach ten wspaniały zniszczony czasem i niedbałością, groził prawie upadkiem. Ale grono ludzi

zacnych i uczonych, miłujących ojczyste pamiątki, nie mogło patrzeć obojętnie, że dzieło Kazimierza upada. Ogłosili więc w całym kraju składki na odbudowanie i wkrótce będzie można wiedzieć po Kazimierzu Wielkim pamiątkę odnowion i odbudowaną.

Chleb ma rogi.

1.

Kiedy Jan Paty jak miał się rozstać z doczesnem życiem, po przyjęciu najświętszego Sakramentu i ostatniego namaszczenia, przywołał do siebie jedynego syna Walentego, i pobłogosławiwszy go, rzekł z wielkiem wysileniem:

— Módl się i pracuj, a Bóg cię będzie błogosławił. Żywot swój rozpocząłem od służby, a stałem się najbogatszym we wsi gospodarzem. Co mam i czegom się dorobił, wszystko twoje...... kochaj i szanuj matkę...... wolałbym abyś miał więcej nauki jak bogactwa..... ale stało się.... w życiu szukaj zawsze rady u mądrego człowieka..... od głupiego jak od zarazy.....

Te były ostatnie słowa poczciwego i rozsądnego ojca, a kiedy po pochowku zrozpaczona wdowa wróciła do domu, załamała ręce i zawołała z boleścią:

— Już ciebie nie mam najdroższy mój przyjacielu! Zostawiłeś mnie samotną, abym żyła w tęsknocie i w płaczu..... Synowi Walentemu, sporemu wyrostkowi w ośmnastu już latach, przykre to były cokolwiek słowa, zbliżył się więc ku matce i całując ją w rękę rzekł:

— Czy zapomnieliście, że ja wam jeszcze zostałem? Uspokójcie się, jak się smutek w nas troszkę przyciszy, to naradzimy się o wszystkiem, aby dla was była pociecha, a dla ś. p. ojca radość.

Matka otarła łzy i obejmując w uścisku głowę dziecka odrzekła: O! ty moja jedyna pociecho! Radź sam, bo w mojem wdowieństwie już mnie i rozum opuścił.

A było nad czem radzić. Patyjak był kolonistą włókowym, i doszedł do tego z dorobku na pańszczyźnie. Miał w gospodarstwie wszystko co potrzeba, łąkę, mąkę — ryby, grzyby

bo w małej za domem sadzawce pluskały się spore karasie, a droga i granice obsadzone były wierzbami. Wszędzie było pełno i zapaśno, w stodole, w oborze, w śpichlerzu, w chlewkach, w sadzie, w komorze, a nawet powiadano, że po nieboszczyku pozostały grube pieniądze, o których wiedziała tylko sama Janowa. Za życia Jana, Walenty razem z ojcem załatwiał wszystkie prace gospodarcze, orał, młócił, jeździł do lasu lub do miasta, ale od śmierci ojca najemnicy nie wychodzili z domu i gdy obce ręce zajmowały się pracą, Waluś przechadzał się po sadzie, upatrywał dojrzałych wiśni, albo leżąc w cieniu na trawie patyczkiem kreślił po ziemi jakby w wielkiem zamyśleniu.

— To tak wszystko z desperacji po stracie ojca — mówiła sobie matka — niech się odtęskni, to chwyci się pracy. Zmartwienia to z ludźmi cudeńka nieraz dokazują. Siostra moja nieboszczka po śmierci męża to tylko słodką wódkę pić mogła, i dopiero ją zmartwienie odstępowało jak się w dzień wyspała.

Gdy jednak minął jeden tydzień i drugi i Waluś w niczem się nie zmieniwszy, od wisien przeniósł się do gruszek, zaniepokoiło to cokolwiek matkę i pomyślała sobie:

— Aby tylko ze zmartwienia nie popadł w jaką chorobę, bo nieboszczyk zawsze smutniał i milknął, kiedy mu co dolegało. Trzeba mieć oko na niego.

Poczciwa więc matka dogadzała mu w jedzeniu, aby krzepiąc się przemagał chorobę. Rano aby mu muchy w śnie nie przeszkadzały, zasłaniała okna i krzątając się cichaczem oganiała jedynaka z uprzykrzonego owadu. Gdy zaś w dzień zobaczyła leżącego na trawie, jak przekładając się z boku na bok fajtał nogami jak w tańcu, podsuwała mu poduszkę pod głowę, żeby smutek przespał, jak to robiła nieboszczka ciotka rodzona. Walkowi wszystko to niezmiernie się podobało, jadł i spał jak tylko mógł najwięcej, czasem chwycił się pracy, ale tylko dla zabawki i wnet ją porzucał. Najemnik więc nie wychodził z domu i cały ciężar domowych kłopotów dźwigała stroskana wdowa.

I tak zeszło lato i jesień: stodoła napełniła się zbożem po sam szczyt dachu, co Walek zobaczywszy zatarł ręce z ra-

dości i rzekł: Bogu dzięki będzie co przedawać. Przyznać jednak trzeba, że w żniwa nie polenił się w pracy. Żął, wiązał snopki, zwoził je do stodoły, albo stawiał w kopki i zergał okiem na Magdusię, córkę biednej wyrobnicy, która niegdyś będąc na gospodarstwie, po śmierci męża podupadła zupełnie i żyła z wyrobku. Po zasiewie z równą pilnością zabrał się do młocki i co tydzień z furką zboża jechał na targ do pobliskiego miasta i choć poczciwie z każdego grosza wyrachował się przed matką, zawsze jednak coś do stroju przywiózł sobie nowego. To nowy pas, to świeże wstążki do koszuli, to rogatą czapkę, a raz kupił sukna na surdut, spodnie i kamizelkę, powiadając, że w bogactwie w jakiem go ojciec zostawił, w chłopskiej kapocie nie wypada mu chodzić. Matce cokolwiek się to dziwnem wydało, ale się nie śmiała sprzeciwiać jedynakowi i gdy go pierwszy raz zobaczyła tak przystrojonego do kościoła, choć nie wyglądał w tem zgrabnie i swobodnie, uściskała go jednak serdecznie mówiąc z rozrzewnieniem:

— Wyglądasz teraz moje dziecko jak jaki pan wioskowy.

— Albo to nim nie jestem? odrzekł Walek z pychą. — Czyż to ojciec na to zbierał i pracował ciężko, żebym zawsze żył w chłopskim stanie i nie zaznał, co to bogactwo znaczy? Stryjowi to może się nie spodoba, będzie ganił, ale to z zazdrości. Bogactwo zawsze kole w oczy i obsiadują go zazdrośnicy jak muchy. Stryj poczciwy człowiek i umie gadać jak ksiądz na ambonie, ale nudny że aż ......

Nie dokończył, bo w tej chwili drzwi się odemknęły i wszedł stryj Walka. Był to wysoki i poważny włościanin, z oczów świecił mu rozum, a z twarzy przebijała taka jakaś łagodność i poczciwość, że każdego odrazu chwytała za serce. Walek pomięszany odwrócił się do ściany i udał, że czegoś szuka w skrzyni: Stryj pozdrowiwszy Boskiem słowem bratowę zapytał:

— A gdzie Walek?

— Jestem, a co chcecie ode mnie?

— A to ty? w takim przystrojeniu? nie poznałem cię i jeszcze prawie nie poznaję choć cię widzę.

— Ba! i cóż patrzycie na mnie jak na jakie dziwowisko?

— Na prawdę mój Walusiu, że dziwowisko z siebie zrobiłeś. Wyglądasz tak jakbyś kij połknął, sztywny, wyprostowany, że od śmiechu prawie wstrzymać się nie mogę.

Matka westchnęła smutnie, oparła głowę na ręku, a Walek nadrabiając miną, włożył ręce w kieszenie od spodni, i rzekł rezolutnie:

— Jeżeliście do nas przyszli na wyśmieszki, toście mogli tej fatygi sobie nie robić. Ja nie dzieciuch krajką opasany...

— Milcz młokosie! — przerwał z gniewem stryj — jeżeli się śmieję, to mam z czego.....

Zawsze to bolą wyśmieszki mój bracie — przerwała matka, a jeżeli Walek zapragnął okaźniejszego przystroju, toć przecie nie za pożyczane pieniądze, i w tem nie ma grzechu.

— Zapewne że nie ma grzechu — odrzekł stryj — ale jest wielkie głupstwo, a z głupstwa nigdy nic dobrego nie wyrasta. Walek pragnie wyższego stanu, przywdział strój szlachecki i zdaje mu się, że już przestał być prostakiem. Ubierzcie konia jak człeka, włóżcie mu na głowę kapelusz, na nogi buty, w pysk fajkę zapaloną, koń jednak koniem zostanie nie przemieni się w człeka. Tak samo też prostak, choćbyście go w same sajety przyodziali, pozawieszali na nim łańcuchy złote, zegarki, pierścienie, osadzili w karecie z lokajem i furmanem wygalonowanym, zawsze będzie prostakiem i każdy się z niego naśmieje. Szlachectwa nie stanowi strój, ale rozum w głowie, a Walek wasz co umie?

— Przecież umiem pisać i czytać — odrzekł Walek z pochmurzoną miną — nie jestem więc takim prostakiem za jakiego mnie ogłaszacie.

— Pisanie i czytanie — odezwał się znowu Stryj — to jak cepy w stodole, same młócić nie będą, tylko trzeba do nich rąk, żeby je ujęły i obracały jak wypada. Czytanie tak samo korzyść przynosi wtedy, gdy się czyta, i wtedy tylko daje rozum głowie, a jeżeli się go do tego nie używa, to jak cepy porzucone w stodole, żadnego nie przynosi pożytku. Walek czytaniem zabawiać się nie lubi.....

— A mnie co po książce — przerwał Walek z oburknięciem — może mnie zechcecie do szkoły posyłać?

— Zdałoby się i bardzo zdałoby się — odrzekł stryj kiwając głową. — Wyższy stan nie dlatego tak się nazywa, że okaźniej mieszka i żywot we wszystkiem prowadzi okaźniejszy, ale że ma naukę i wyżej czyli lepiej patrzy na wszystko Ty chcesz się do niego przyłączyć, nikt tego nie nagani, ale wprzód należało sięgnąć nie po strój, ale po naukę, żeby dla ciemnych być przewodnikiem i obrońcą.

— Ja tam takiego przewództwa nie pragnący — odezwał się Walek — z łaski Bożej choć się nie uczę, chleba mi nie braknie.....

— Oj! może braknąć mój Walusiu......

— Ej! nieboszczyk tatuś nie mieli żadnej nauki, a przyszli jednak do bogactwa, to i ja się bez nauki obejdę.

— Ale brat nieboszczyk zachowywał we wszystkiem stary obyczaj. Pracował jak wół, jadł po prostu, przyodziewał się bez wymysłu, oszczędzał, na okaźność żadną grosza nie stracił, więc choć żył i umarł w prostactwie, to mu wystarczało i jeszcze niemałą po sobie zostawił fortunę. Ty stary obyczaj odrzuciłeś, i pragniesz nowego, więc naukę trzeba przygarnąć, bo zginiesz

— Co mam zginąć? Żem sobie sprawił inne przybranie, to nie idzie za tem, abym wszystko miał stracić.

— Stracisz, bez ochyby stracisz. Dawniej o nas myślano teraz sami o sobie musimy myśleć i zaradzać w każdej przygodzie. Rada dobra tylko z rozumnej idzie głowy, więc na gwałt uczyć się trzeba, bo mądrzy pójdą naprzód, a głupcy zostaną na zajdach. Ja także prostak, ale przynajmniej czytam co mogę, wiem co się w świecie dzieje, rozważam, zastanawiam się i widząc, jak to w obcych krajach ludzie garną się do nauki, gdy spojrzę po naszym ludowinie, to mnie aż dreszcze przechodzą, myśląc co się z nami stanie, gdy w jednej ciemnicy umysłu zostaniemy. Przez nią to popadliśmy w potrójną niewolę, i przez nią braci naszych w Poznańskiem wypierają Niemcy do Ameryki.

Dziś tysiące naszych rodaków rozpierzchło się na wszystkie strony świata; żebyśmy wszyscy nie poszli za ich przykładem z nauką, musimy się na gwałt pobratać, bo inaczej będziemy

Polakami ale bez polskiej ziemi. Panie Wszechmogący! ustrzeż nas od tego nieszczęścia.

— Ho! ho! ho! za daleko zaszliscie odezwał się Walek— ja taki teraz dobry jak każdy...

— Ale i głupi mój Walku, jak znów nie każdy, przerwał Stryj zobaczywszy, że Walek na te słowa z gniewu aż pokraśniał, domówił mniej ostrem słowem: my teraz już nie chłopi, ale obywatele kraju, a obywatel to największa godność na świecie. Swobodny, wolny czuje, że jest człowiekiem a nie niewolnikiem, że jest cząstką całego narodu, który w wielkim majestacie powinien dążyć do celu przez Boga mu wskazanego. Kto nie przykłada do tego ręki. to nie obywatel, i prędzej później pójdzie na śmiecie jak rupieć niepotrzebny na wzgardę i ogólne pośmiewisko, Przykładać rękę jest to: uczyć się pracować i być poczciwym człowiekiem. Dla tego też powiedziałem ci ostro żeś głupi, bo czy robisz tak jak powinieneś? (D. c. n)

Rozmaitości.

Wilk. Mazurzy złapali wilka i radzili, co z nim począć. Jeden mówi: pałką w łeb, taj zabić bestyję Drugi powiada: żywcem skórę zdjąć z niego. Trzeci woła: ożenić bestyję, a do tego jesce z moją Kachną.

Śledź. Filut pewny podczas znacznego zbiegowiska ludzi zrobił zapytanie: co jest najsmaczniejszego w śledziu? Jeden mówi, że głowa. Nieprawda dawaj grosz. Drugi, że ogón. Nie zgadłeś, dawaj grosz. Mnożą się grosze, ale też i kupa ciekawych przybywa, zgadywaniom nie ma końca. Nareszcie śmielsi przystąpiwszy do niego zapytali, powiedzże nam, co jest najsmaczniejszego w śledziu? Ja sam nie wiem — odpowiedział filut.

Figura. Ojcowie Jezuici odprawiali majówkę w polu pod figurą. Mieli tam z sobą puzderko niezgorsze, napełnione przepysznemi trunkami. — Ale zaledwie rozłożyli sie do wesołej biesiady postrzegli zdaleka nadchodzących Bernardynów. Co tu robić, rada w radę, postanowili puzderko zakopać pod figurą. Jakoż wykonali to, i puścili się w przeciwną stronę ku lasowi. Nadeszli Bernardyni pod figurę i powiadają: tu byli Jezuici, spocznijmy tu także i posiadali sobie. Jeden z nich spostrzega świeżą ziemię, zaraz mu przyszło do głowy, czy też Jezuici nie zakopali tu jakiego skarbu, dalejże kopać i dobyli puzderko nie próżne, wycedzili wszystko do ostatniej kropelki, a domyślając się, że Jezuici wrócą na to miejsce, przylepili karteczkę na puzderko z napisem: Już się owo spełniło, co pod figurą było.

Przekonanie. W Warszawie w nocy hultaje napadli pewnego obywatela, a obdarłszy go, jeszcze utopić do Wisły prowadzili. Zapytał się ich, dokąd że to mię prowadzicie? Do Wisły utopić odpowiedzieli mu. Moi łaskawi panowie, zawołał obywatel, cały dzień piłem wino, niechże nie mięszam inszego trunku, bo mi bardzo szkodzić będzie. Co też rozśmieszyło hultajów do tego stopnia, że go zdrowo puścili.

Przeznaczenie. Pewnej matce przepowiedziano, że jej syna w dwudziestym roku powieszą. Biedna matka stroskana pielęgnowała swego synaczka i zaprawiała go do bojaźni Boga i miłości bliźniego. Rósł tedy chłopiec w pobożności wielkiej i ludzie kochali go bardzo. Przyszedł nareszcie rok dwudziesty, na matkę śmiertelne biły poty, gdy o fatalnej przepowiedni pomyślała. Krok w krok za nim chodziła, żeby niepopełnił jakiej zbrodni w tym czasie. Młodzieniec był bardzo moralny, sam siebie też piluował. Już był dzień ostatni roku dwudziestego wieku jego, w którym przesilić się miała przepowiednia. Właśnie położył się był młodzieniec do łóżka i spał snem sprawiedliwych. Biedna matka czuwała nad jego łożem i modliła się. Przed dwunastą godziną w nocy przyszło pięciu ludzi do świetlicy, wyciągnęli młodzieńca śpiącego z łóżka, dwóch stawiało szubienicę, trzeci czytał wyrok śmierci, czwarty był ksiądz, a piąty był kat, który spełniał wyrok śmierci na młodzieńcu. Po spełnieniu wyroku zdjęli młodzieńca z szubienicy i położyli do łóżka, poczem wszystko zniknęło. Matka przerażona srogiem tem widzeniem, przypadła do swego syna, który był całkiem zdrów, spał wybornie i pozbył się strasznej przepowiedni.

Rozum. Młody pan zajechał na noc do karczmy, gdzie arenndarz ciekawy między innemi pytaniami i oto zapytał, dokąd i w jakim celu podejmuje pan podróże. Gość przybyły jako człowiek otwarty, nie taił powodu swej wycieczki, ale wprost powiedział; jadę w świat szukać rozumu. Żyd przebiegły pomyślał sobie, kiedy ty w świecie rozumu szukasz, to ty musisz mieć pieniądze. Ale i gościowi ciekawość żydowska wcale się nie podobała, także pomyślał sobie, ty widzę chcesz mię rozumu nauczyć, ale ci się nie uda. Po skromnej bardzo wieczerzy, gość rozpasawszy z siebie duży trzos z pieniędzmi rzucił na stół, sam zaś położył się na słomę zaraz koło stołu i udał śpiącego. Żyd z alkierza patrzał bardzo uważnie, gdzie był trzos położony i zgasił światło na pewne. Gość tymczasem cichuteńko ściągnął trzos ze stołu ku sobie i począł tęgo chrapać Żyd sądząc, że dobrze zasnął, na palcach wysunął się z alkierza i dalejże do stołu, maca naokoło, lecz trzosa nie było. Gdy się oddalił żyd, gość pocichu znowu trzos na stół położył. Żyd krzesze ognia, rozpalił świckę i patrzy, trzos leży na swojem miejscu. Zgasił tedy świeczkę, a tymczasem gość znowu ściągnął trzos ku sobie i lepiej jeszcze chrapał. Żyd na palcach znowu lezie po trzos, maca, nie ma trzosa, wyłazi na stół, nie ma. Wraca do alkierza i znowu krzesze, a tymczasem gość znowu trzos wystawił na stół. Żyd

rozpalił świecę i patrzy że trzos leży na stole. Dmuchnął na świecę i zgasił, a tymczasem gość pomknął trzos ku sobie. Idzie żyd po raz trzeci, maca, nie ma trzosa. Domyślił się przecie, że to są figle gościa, pod nosem tylko powiedział: Rich an taty aran, di szwarc jur i spać się położył. — Rano tedy wstał ów podróżny, przepasał trzos, jakoby nic nie zaszło, zapytał o rachunek żyda, który wyszedłszy do niego z alkierzyka tę pamiętną dał mu naukę: Ny po co pan jedzie w świat szukać rozumu? Pan go masz.

Wypadki nieszczęścia. Na kolei żelaznej z Poznania do Wrocławia wydarzył się tych dni nieszczęśliwy przypadek. Wyskoczyły z szyn 3 wagony osobowe; dwa z nich zsunęły się z grobli kolejowej na prawo a jeden na lewo, a przewróciwszy się kilka razy zdruzgotał się, przyczem jeden podróżny niejaki Gottesberg z Leszna natychmiast życie utracił, inny obywatel Leszna tak mocno został pokaleczony, że także niebawem życie zakończył. Jeden urzędnik kolejowy także na miejscu zabity został. Pomiędzy czterema ciężko rannymi jeden ma połamaną rękę, a dwaj inni i kobieta połamane nogi. Prócz tych 13 osób lżej rannych.

Inny pociąg przejechał również wczoraj porządnie ubranego człowieka pomiędzy Rydzyną a Bojanowem, który na szyny się rzucił.

Złote ziarna.

Fukasz i odpowiadasz panu, bracie miły,
Ale wiedz, daremny gniew kiedy jest bez siły.
Kto komu grozi a sił nie ma go zwyciężyć,
Ten podobny psu bywa, co szczeka na księżyc.

Panie! jako mię nie darz zbytecznem bogactwem
Tak też zarówno nie karz ostatniem żebractwem,
Daj chleba według miary, a wprzód Twoją łaskę,
Przyjaźń ludzką, co nad to, wszystko mam za fraszkę.

Żyjąc umieramy niechybnym sposobem,
Kolebką zaczynając, a kończący grobem.
Kto się temu dziwuje (choć to pospolita,)
Niech się też także dziwi, gdy zmierzcha a świta.

Redakcja Dzwonka przeniosła się z Wałowej ulicy.

Wszelkie listy i reklamacje upraszamy nadsyłać pod adresem Redakcja Dzwonka l. 602 ¼. Pałac Dzieduszyckich.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Kazimierz Okaz. — Z drukarni E. Winiarza